№ 39.

Warszawa

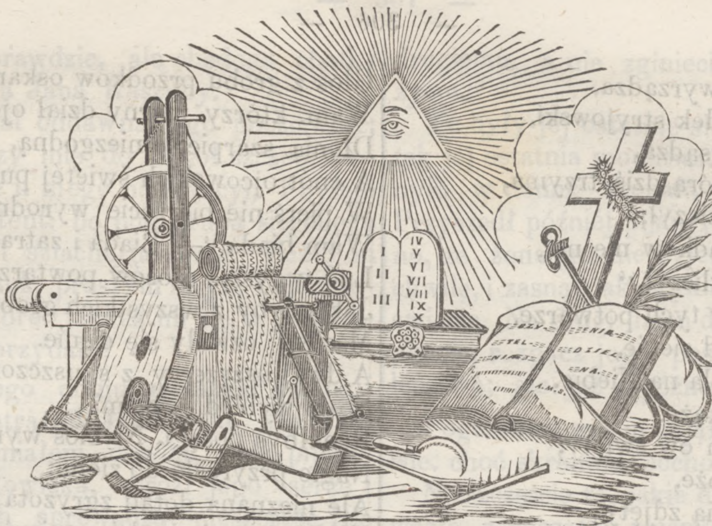
Dnia 16 (28)

Września

1856.

Niedziela

20ta PO ŚWIĄTKACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80. półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Rządź, prosimy Cię Panie! sercami naszemi z miłosierdzia Twego, bo my Tobie, bez Twéj pomocy podobać się nie możemy. (Modlitwa kościelna na niedzielę 20 po Świątkach).

Dziądek.

Dźwięczy poranna piosnka skowronka,
Wonieją białe czeremchy kwiaty,
Dziadek nieboże, siadł w progu chaty,
Pograć się w złotych promieniach słonka.
Siadł—wzrok po świecie puścił szerokim,
Mgła zadumania legła na czole;
Wtem złoto-włose wiejskie pachole,
Cichym ku niemu podchodzi krokiem.
—„Bóg z wami Dziadku! w gaju na wrzosie
Przespałem krótką nockę majową,
A teraz rankiem biegnę po rosie,
Ukręcić sobie fletnię wierzbową.
Lecz co tam fletnia! co mi tam granie!
Niech szare ptaszki śpiewają Bogu,
Ja w pogodnego dzionka zaranie,
Przy nogach waszych siądę na progu,
I będę głaskał tę brodę białą,
Będę z srebrzystym bawił się włosem,
A wy Dziadulu! jako bywało.
Bajkę mi cichym powiedźcie głosem."
„Siądź sobie z Bogiem, siądź moje dziecię,
Lecz o czém dzisiaj powiadać tobie?
—„Dziadku! jest tyle grobów na świecie,
A człowiek w każdym takim śpi grobie!
Więc mi powiedźcie o ludziach dawnych,
Co na téj ziemi żyli przed nami;
O dobrych Królach, rycerzach sławnych,
I świętych, którzy słyną cudami.
Powiedźcie Dziadku!—dzieciom się godzi,
Znać ojcowskiego żywota dolę"....
Źrenica starca łzami zachodzi,
Do serca lube ciśnie pacholę,
I w majowego poranku ciszy,
Prawi mu starą powieść ojczystą,
A wiatr czeremchy gałęź kwiecistą,
Nad siwą jego głową kołysze:

. . . .

Bolesław śmiały, syn Kazimierza,
Siedział na Piasta stolicy;
Berło monarchy i miecz rycerza
W potężnéj dzierżąc prawicy.
Gdy raz przed jego królewskim tronem,
Stawa dwóch młodych rycerzy,
I niewinnośći skrzywdzonéj tonem,
Żałobę skargi swéj szerzy:
—„Królu! wołają, Biskup Krakowski,

Ciężką nam krzywdę wyrządza,
Nam przynależny spadek stryjowski,
Nieprawnie sobie przysądza,
Bo chociaż wioskę, którą dziś trzyma,
Za życia stryja dziedziczył;
Nigdzie dowodu i świadków nie ma,
By pieniądz za nią wyliczył.“
Bolesław słysząc słów tych potwarze,
Wzywa Biskupa przed siebie,
I w imie Boga — Króla na Niebie,
Dowody składać mu każe.
Ale Stanisław, kapłan ów święty,
Nic mu okazać nie może,
Tylko pobożną ufnością zdjęty,
Na wsparcie spuszcza się Boże.
—„Mam świadka, rzecze, on świadczyć będzie,
Za niewinnością skrzywdzoną,
On wszystkie ziemskie przekona sędzie,
Że Bóg jest słabych obroną!
Mam świadka! chodźcie!“—Naród zebrany
Za Bożym ciśnie się sługą,
A on ich drogą dwie mile długą,
Wiedzie przez gaje i łany.
Aż na cmentarzu ubogiéj wioski,
Wśród cichych staje kurchanów,
Kędy Piotrowin, stryj złych młodzianów,
Śpi, nim sąd zbudzi go Boski.
On śpi, a kapłan na jego grobie,
Skroń z siwym pochyla włosem,
I w niebo ręce podnosząc obie,
Wielkim odzywa się głosem:
—„Wstań Piotrowinie! przez Boga w Niebie
Usłysz mnie w głębiach mogiły!
Z wnętrzności ziemi przyzywam ciebie,
Prawda ma na to dość siły.
Wstań Piotrowinie!“ — I drżące dłonie
Do cichych modłów gdy składa,
Głuchy jęk w ziemi ozwał się łonie,
I grób się środkiem rozpada.
A blada mara w całunów bieli,
Zrywając prawa odwieczne,
Z grobowéj swojéj wstaje pościeli,
Na jasne światło słoneczne.
Wstaje—wzrok zgasły wodząc dokoła,
Straszliwe szerzy zmieszanie,
I drżącym głosem: Jestem! zawoła,
Na niewinności wezwanie!
Jestem! niech prawdy czyste promienie
Spędzą mrok niecnéj potwarzy,
Ale wam biada! których sumienie
Głos z grobu przodków oskarży!!
Wam, którzy marny dział ojcowizny
Dłonią szarpiecie niezgodną,
A cnót ojcowskich świętéj puścizny
W pierś nie bierzecie wyrodną!
Wam biada!“— Biada i zatracenie!...
Lud w tysiąc głosów powtarza,
Jak gdyby z wszystkich grobów cmentarza,
Mściwe ozwały się cienie.
A dwaj oszczercy z spuszczonym wzrokiem,
Stoją wybledli i niemi,
Rzekłbyś posągi, Niebios wyrokiem
Nagle przyrosłe do ziemi;
Ale nieznana dotąd zgryzota
W śpiącem się budzi sumieniu,
I żal, co sercem występnych miota,
W łzawym wytryska strumieniu,
Więc na kolana padłszy w pokorze,
Zalani łzami żałości,
Daruj! wołają, daruj nam Boże!
I ty, o Duchu przeszłości!
Słabi byliśmy przed pokus mocą
W trudną doświadczeń godzinę;
Lecz niech nam łaska przyjdzie z pomocą
Przez Ojców naszych przyczynę,
A nigdy grzesznych zysków pragnienie
Serc nam podłością nie splami,
Bo w chwili walki, przodków wspomnienie
Puklerzem stanie przed nami!...

Poczciwy chłopek Jan Kaszuba.

Dwa obrazki z życia, oparte na prawdziwém zdarzeniu.

—

I.

W południowéj stronie miasteczka Szczebrzeszyna, w gubernii Lubelskiéj, leży prześliczna dolina, zwana Brocką. Otoczona z jednéj strony wieńcem gór, a z drugiéj mnóstem krzaków z róż leśnych i jaźminów, prześliczny od strony miasta przedstawia widok. Nic nie widziałem piękniejszego nad to miejsce, ozłocone czystem i pełnem światłem zachodzącego słońca.

W którą się obrócisz stronę, w każdéj znajdziesz coś uderzającego, coś rozweselającego oko.

Prześliczna zieloność trawy, porozwijane kwiaty jaźminu i róż w porze letniéj, przytem odgłos ryku bydła, i krzyk pasterza nadają temu miejscu coś tak uroczego, czego opisać trudno.

Tu, wśród tych krzaków i zarośli, stała nie-

gdyś szczupła wprawdzie, ale chędoga chatka poczciwego rolnika Jana Kaszuby.

Mój opiekun znał oddawna jego poczciwość; dlatego odwiózłszy mię do szkół szczebrzeskich, postawił mię u niego na stancyi; i byłem z tego bardzo kontent: bo pod grubą siermięgą Jana, biło czułe i szlachetne serce. Ileżto on mi nie nadawał nauk, prostym swym i nieuczonym językiem, które jakżeż mi się w późniejszem mém życiu przydały!

Naprzeciwko jego domu mieszkał z żoną i trojgiem dziećmi strażnik Jankowski. Na tym człowieku dobry miałem dowód, o ile pijaństwo poniżając człowieka, mrozi jego serce i tysiące okropnych sprowadza nieszczęść. Nie zdarzyło mi się jeszcze widzieć w mém życiu, nikogo, coby był tak obojętnym, jak Jankowski, na wszelkie łzy żony, na nędzę, jaka jéj i biednym zagrażała dziatkom. Jak tylko odebrał swą szczupłą pensyą, natychmiast wynajdował sobie mnóstwo towarzyszów, z którymi włócząc się od szynku do szynku, poił ich wódką; a między którymi było wielu takich, którzy z początku razem z nim pili, bawili się, a potem szydzili, gdy już pieniądze stracił.

Nieszczęśliwa żona tymczasem, ileż nie wylała łez nad biednemi dziećmi, których smutny los przewidywała!... ileż ta szlachetna i czcigodna kobieta przepędziła bezsennych nocy nad pracą, z której karmiła dzieci i marnotrawcę męża, gdy ten już ostatni grosz w szynku zostawił.....Długo ona cicho i bez narzekań, z cierpliwem poddaniem się smutnemu losowi znosiła swoje cierpienia, ale nadmiar boleści sprowadził wreszcie chorobę, z której już biedna wyleczyć się nie mogła.

Trudno opisać nędzy, jaka ją wtedy dręczyła... Opuszczona prawie nazawsze od męża, odwiedzana jedynie przez mego gospodarza, z płaczem polecała mu dzieci swoje. A gdy się już czuła bardzo osłabioną, przywołała je wszystkie do siebie, i obsypując tysiącem pieszczot i błogosławieństw, na wszystko zaklinała, aby się szczerze i wzajemnie kochały.

„Wasz ojciec, mówiła im, niewiele wam dopomoże, ja już niedługo z wami zostanę; ale Bóg będzie z wami i poczciwy Jan was nie opuści, tylko kochajcie się szczerze, i dopomagajcie jedno drugiemu, a nie zginiecie w tém tu biednem życiu.“

Te były jéj ostatnie słowa, i o szczęście dziatek jéj ostatnia modlitwa.... Męża jéj wtedy nie było w domu: skonała w jego nieobecności. Przyszedł późniéj pijany, a gdy mu powiedziano, że żona już nie żyje, pomruczał coś przez chwilę, i zasnął jak zwykle, nie wiedząc o bożym świecie. Na drugi dzień dopiero, po wytrzeźwieniu się, rozpacz jego posuwała się aż do szaleństwa; ale już zapóźno.

Pogrzebem całym zajął się Kaszuba, i uczciwie, choć skromnie pochowano Jankowską.

Nieszczęście to, jakie dotknęło jéj męża wywarło z początku niezmierny na niego wpływ: gorzko opłakiwał jéj stratę zerwał wszelkie stosunki z niegodziwymi towarzyszami, którzy gó do pijaństwa zachęcali, i szczerze się począł dziećmi zajmować.

Niedługo to trwało. Napróżno się cieszył poczciwy Jan, że biedne dzieci, straciwszy matkę, odzyskały ojca, bo Jankowski bardzo prędko do dawnego sposobu życia powrócił. We cztery miesiące może, po śmierci żony, w czasie pięknego wieczoru wyszedłem przed chatę Kaszuby, i usiadłem na ławie, aby odpocząć i odetchnąć świeżem powietrzem. Wtem postrzegam, jak najstarszy synek Jankowskiego, około lat 10 mający, ściskając jedną ręką dłoń swéj młodszéj siostrzyczki, a drugą odgarniając z jéj czoła gęste sploty włosów, w najtlikwszych słowach stara się utulić ją wpłaczu.

—„Cicho, cicho, Maryniu! mówi jéj, już nie długo przyjdzie nasz kochany Kaszuba, i pewnie nam co do jedzenia przyniesie....Czy ci się tak bardzo chce jeść?

—Och! bardzo, odrzekła, i znowuż płakać zaczyna.

—Ach! niema naszéj drogiéj, kochanéj mamy, któraby nas karmiła!...rzecze potem chłopczyk, a wznosząc ku niebu swe dotąd łzami przyćmione oczy, jeszcze rzewniéj płakać począł.

Za tych dwojga przykładem poszła i trzecia najmłodsza dziewczynka, i także mocno płakała.

—„Gdyby to nasza mama żyła, pewnieby tu nam tak cierpieć nie pozwoliła“—przerwała nakoniec starsza z dziewczynek, uspokajając się cokolwiek.—„Czy pamiętasz Józiu! jak nam na-

kazywała, abyśmy się szczerze, wzajemnie kochały?

—Ach ja to dobrze pamiętam....ale kochaszże ty mnie?

—Ja ciebie kocham. A ty mnie kochasz?

—I ja ciebie kocham—odrzekła,

—Pocałujże mię!

—„Dobrze“ — Tu serdecznie uściskały się biedne sieroty; w tem i trzecia malutka, zaledwie 5 lat mająca siostrzyczka zbliża się do nich, i z płaczem prosi: „to pocałujcie i mnie, bo ja was także kocham!...“

Nie mogłem się wstrzymać od łez na ten widok. Poszedłem do biednych sierot, a wziąwszy je za rączki, poprowadziłem do domu poczciwego Kaszuby, który po chwili przyszedłszy z pola, nie szczędził pieszczot, i pokarmu dla nich.

Ile to podobnych, ale co mówię?... może w okropniejszej nędzy, bo zupełnie od ludzi opuszczonych, bez żadnej opieki i starania, sierot umiera z głodu i nędzy w ukryciu po naszych miastach i siołach!...

Miłość chrześciańska, gdyby w nas tylko żywym pałała ogniem, dałaby nam pewnie sposoby do ich wynalezienia, i wybawienia ich z nędzy i śmierci...

Nie będę tu opisywał wdzięczności, jaką czuły te biedne istoty dla swego dobroczyńcy Kaszuby! z jaką serdecznością swemi delikatniutkiemi ustkami całowały zgrzybiałą rękę poczciwego rolnika, o którego dobroci, i prawdziwie chrześcijańskiéj miłości i roztropności zamilczeć nie mogę.

Był on gospodarzem, na swój stan stan dosyć zamożnym: fundusz jego nie wystarczyłby jednak na takie wychowanie, jakieby chciał dać tym biednym dzieciom, tak pieszczonym, tak po pańsku, jak mówił, wychowanym przez matkę, która sama wolała znosić wszystkie niewygody i nędzę, byle tylko im dogodzić mogła. Lecz ten, w czyjem sercu tleje gorący ogień miłości Boga; nie wynajdzież w najgorszym nawet razie, sposobu do podania pomocy biednym?

Niepodobna tego przypuścić.

Jan się też niedługo namyślał, poszedł do Dyrektora szkół, i składając w ręce jego pieniądze, jakie wtedy mógł zebrać, prosił o przyjęcie do szkół syna Jankowskiego, i o podanie pomocy biednemu sierocie.

Dyrektor poruszony pięknym czynem prostego człowieka, ofiarował bezpłatnie książki, ubiór i stół. I tak los jednego z dziatek zabezpieczonym został.

Zachęcony dobrem powodzeniem Jan idzie potem do Pani, która uczyła w Szczebrzeszynie panienki, i ze łzami błaga o przyjęcie znowuż młodéj dziewczynki sieroty, na wychowanie, obiecując w nagrodę jéj trudów, corocznie dawać pewną ilość leguminy, na jaką go stać było.

Z radością przystała na to owa pani i dziewczynka starsza, podobnie jak jéj brat z korzyścią się wkrótce uczyć poczęły: jak chwalić Boga, pracować na chleb, i ludziom być pożytecznemi? Najmłodsza tylko została przy Kaszubie, bo miała dopiero zaledwie lat 5, ale dla téj Jan był prawdziwym opiekunem i dobroczyńcą. Ojciec zaś ich jak dawniéj, pił, miejsce strażnika stracił, a dostawszy z wódki jakiegoś zapalenia, marnie w najokropniejszéj nędzy życie zakończył.

W szesnaście lat po tym wypadku spotykam raz, wychodząc z klasztoru księży kapucynów w Warszawie, jakiegoś staruszka, który wspierając się na kiju, powoli zmierza ku kościołowi... To Jan Kaszuba.

—„Co tu robicie Janie! w Warszawie?“— spytałem, biorąc go za rękę.

—A!... to ty Józefie!... och! przepraszam, że nie powiedziałem Panie; ale tak przyzwyczaiłem się witać i nazywać poufale i po imieniu moich dobrych, dawnych znajomych.“

Podziękowałem mu za to, że i mnie tak przywitał, i spytałem, co tu w Warszawie porabia?

—„Ja tu u Józefa Jankowskiego, który zostawszy urzędnikiem, i dorobiwszy się nie majątku, ale uczciwego dostatku, wziął mię do siebie, bym spoczął u niego na moje stare lata; lecz choć tu u was w Warszawie tyle pięknych rzeczy, jednak mnie przyzwyczajonemu do pracy, jakoś się okropnie nudzi; chciałbym koniecznie wrócić w moje strony, niezmiernie tęsknię za niemi. Jużem nawet mówił panu Józefowi, żeby mię tam odwiózł; przychylił się do mojéj prośby, i około Śgo. Jana pojedziemy z nim do Szczebrzeszyna.

Oj, dobre to dziecko zawsze było z tego Jankowskiego, i teraz na poczciwego wyrosło człeka. Ot, patrz, mój synu! opiekuje się mną, tak jak swoim ojcem: dobrze mi jest bardzo u nie-

go, nic mi nie szczędzi, stara się, aby mi uprzyjemnić te kilka chwil, które mi do śmierci zostają, ale człowiek do jakiego się życia przyzwyczai, do takiego zawsze tęskni. I mnie znudziło się już tu siedzieć bezczynnie w Warszawie: chciałbym się koniecznie czem zająć; dlatego pan Józef chce mi kupić w Szczebrzeszynie kawał gruntu, gdzie wezmę do siebie którego z moich krewnych, i przy nim zamieszkam, pomagając mu, ile siły starczą.

—A gdzież są siostry pana Józefa? zapytałem.

—Starszą już wydał za mąż, młodsza niedawno ukończyła nauki, na które łożył sam jéj brat; a teraz pojechała do siostry, i przy niéj bawić nadal będzie. Jak mogą, tak się wspierają poczciwe dzieci: bo się tak kochają, jak im matka, umierając, przykazywała. A Ty, jakżeż się masz mój przyjacielu?

—Dość dobrze, i nieźle mi się powodzi, Bogu dzięki, odpowiedziałem.

—Och, i ja za to składam Mu dzięki.... Pamiętam,ześ dawniéj w młodszym wieku był pobożnym, pracowitym i posłusznym; jeżeli więc i teraz takim jesteś, to już się nie troskam o twój los.— Ale ot i Msza św. wychodzi, żegnam Cię więc, i proszę, zmów czasem paciorek za starego Kaszubę!...

II.

Uczynek ten szlachetny nie jest pierwszym ani ostatnim z życia tego poczciwego chłopka.

Często widziałem, z jak serdecznem współczuciem pocieszał Kaszuba smutnych, i biednych ratował w potrzebie. Bóg go też hojnie nagrodził za jego dobre serce już tu na ziemi, a jakaż go jeszcze czeka nagroda po śmierci!... Zwierzał mi się nawet czasem, ile czuł rozkoszy i szczęścia, gdy komu co dobrego uczynił: bo kochał mię jak syna, i do naśladowania tego, co jest szlachetnem i uczciwem, pobudzić mię wszelkiemi siłami się starał.

—Jakby to dobrze było, mój Janie, gdyby zupełnie między nami nie było ubogich, na których widok aż się serce kraje, rzekłem mu raz, gdyśmy rozmawiali o biednych.

—A co ty mówisz, moje dziecko? odrzekł Jan zdziwiony; lepiéjbyś to powiedział: co by to było za szczęście, żeby bogaci ubogich silnie i szczerze kochali!... A toś się jeszcze nie nauczył tego, że niepojęte są wyroki Boga, że często On przez bogatych ubogim, i nawzajem przez ubogich bogatym dobrze czyni?

—To wszystko prawda, odrzekłem, ale zdaje mi się, żeby było lepiéj, gdyby sam Bóg każdego, bez użycia do tego innych ludzi, wspierał, żeby wszyscy od Niego jednakowem mieniem obdarzeni byli.

—Oj nie lepiéj, mój synu! bo wtedy każdyby żył dla siebie, bez żadnego poświęcenia się dla drugich, a stąd ileżby złego wynikło! My bogatsi nie mielibyśmy już wtedy téj wielkiéj zasługi, jaką sobie skarbimy w Niebie z otarcia łez sierocie i wdowie, a ubodzy nie mieliby już téj zasługi, jaka na nich spływa z cierpliwego znoszenia niedoli, która ich tu dlatego chłoszcze na ziemi, aby im otworzyła po śmierci Niebo i jego wielkie, bez końca i miary rozkosze...

Przed 30 może laty, kiedym jeszcze mieszkał we wsi Kawęczynie, żył zamożny i poczciwy gospodarz Stanisław Roczniacki. Nie pominął on nigdy ubogiego, i nie odprawił z niczem nikogo z nas, gdyśmy czasem co pożyczyć od niego chcieli, lub jakiéjkolwiek pomocy żądali. Bóg też mu za to błogosławił i wszystko mu się pomyślnie wiodło.

Ale jakto zwykle na tym świecie, są ludzie dobrzy, są i źli, ktorzy różnie dobrym dokuczać pragną.— Tak też i Stanisław choć sam poczciwy, jednak nie uszedł zazdrości złego sąsiada.— Blisko niego bowiem mieszkał sołtys, człowiek bogaty, ale obłudny i zazdrosny, u którego kiedyś poczciwy Stanisław był służącym; ale że to było poczciwe człeczysko, więc mu Bóg dopomógł, że się prawie takiego, jak sołtys dorobił majątku, a co więcéj, lepiéj był od gromady i dworu lubiony.

Nie mógł znieść sołtys dobrego powodzenia poczciwego Stanisława, i starał się mu różnemi sposobami dokuczać, ale gdy nic zrobić nie mógł, podpalił więc pewnéj nocy z czterech rogów jego chatę.

Och, mój Ty mocny Boże!... cały wtedy dobytek i wszystko spłonęło Stanisławowi!...

Wkrótce się zbrodnia wykryła i podpalacza osadzono w więzieniu, ale biedny Stanisław stracił wszystko, prócz jednego zboża w polu (bo było to w lecie;) lecz i tego nie było za co zebrać.

Jednak kto jest poczciwym, tego Bóg nigdy nie opuści, i choć czasem ukarze, to jedynie dlatego, aby potem więcéj cieszył, już tu na ziemi, lub w przyszłości, w niebie. Tak też i ze Stanisławem, ten dobry nasz Ojciec postąpił.

Z pokorą przyjął cnotliwy ten człowiek to dopuszczenie Boskie. „*Bóg dał, Bóg wziął, niech się Jego Święta wola dzieje*“ mówił, gdy mu kto kiedy o jego wspomniał nieszczęściu.

Lecz czy dasz wiarę, mój synu, że tak okropnie wyniszczony, niedługo, bo może w rok, do takiego, jaki miał przed pożarem, przyszedł majątku.

Niejednego on pocieszył w nieszczęściu, niejednemu pomógł w potrzebie, to z gospodarzy to z ubogich już poradą, już pieniędzmi, czem tylko mógł: dlatego ci wszyscy nie dali się napędzać do pracy, ale z czem kto mógł, czy z sierpem, czy kosą, czy grabiami, z tem wychodził na pole i łąkę Stanisława, i tam szczerze na niego pracował.

Oj! trzeba to było widzieć, z jaką rączością mnóstwo gospodarzy ze wsi, kobiet ubogich, dzieci z grabiami, siekierami, widłami, sierpami, biegło na Stanisława pole, pomimo jego nawet wiedzy; kaleka nie jeden, choć wiele robić nie mógł, jednak kłoski poszedł zbierać, by przynajmniéj tyle, ile mógł, przyłożył się do ogólnéj pracy, na korzyść Stanisława, którego wszystko zboże i siano w przeciągu kilku dni złożone w sterty zostało.

Zalał się łzami poczciwy Stanisław, jak się dowiedział, że ludzie mu zboże całe zżęli, i siano skosili.

„Niech wam to Bóg tysiąckrotnie nagrodzi, mówił, wyszedłszy ku powracającym z pola, bo ja tylko modlitwą moją odwdzięczyć wam się mogę....Zaciągnąłem u was dług, z którego się przez całe życie moje nie wypłacę....ale Ojciec Niebieski, który wasz czyn widział, *nie przepuści go* wam *bez nagrody.*“

Szlachetny ten człowiek, którego nie jeden i dziś jeszcze ze czcią wspomina, i za duszę się jego modli, sądził, że nie zasłużył sobie na taką dobroć u ludzi.

Otóż to tak, moje dziecko! dobrze czynić, jak Stanisław czynił, i tak jak on nie chełpić się z tego, ale owszem jeszcze bardziéj uniżać się przed Bogiem, pamiętając na to, że wszystko, co tylko mamy Jego jest, i od Niego pochodzi, to się to dopiero nazywa dobrze czynić.

Ale jeszcze nie koniec nagrody Stanisławowéj.

Wziął on był sobie, jeszcze wtedy, gdy się miał dobrze, na wychowanie ubogą dziewczynkę, z 8 lat mającą, Magdusię Krośniakównę.

Było to ubogie, nieszczęśliwe dziecko, bez ojca i matki. Włóczyło się tam po wsi od domu do domu, a każdy to potrącał i wypędzał od siebie, a nawet jéj krewni: bo to z początku zdawało się mazgajowate i do niczego, ale Stanisław i tem nie wzgardził. „Jaką ją Bóg wszechmocny stworzył, taką jest, mówił, ale nam nie godzi się gardzić i nie dbać o biedne dziecko, dlatego, że się zdaje jakieś niedołężne i niewiele nam pracować może. Kiedy je Bóg stworzył, to widać chciał, aby między nami żyło; grzechbyśmy więc mieli, gdyby z naszéj winy umarło z głodu pod płotem.

Tak sobie miarkując, wziął to dziecko do siebie, przyodział, karmił, uczył chwalić Boga; a dobrocią swoją tak to jakoś ośmielił, że się coraz stawało ruchliwsze i do roboty z początku lekkiéj, a potem coraz cięższéj sposobniejsze.

Po ośmiu może latach wyrosło ono na krasną dziewczynę, któréj piękności się wszyscy dziwili. Zdrowia tam wiele nie było, i nie wiele ona mogła robić, ale za to serce poczciwe i cnotliwe, to prawda i nie grzech powiedzieć.

Kochał ją Stanisław, jak własne dziecko, i ona go także jak ojca miłowała.

W szesnastym a może siedmnastym roku wzięła ją dziedziczka do dworu do usług pokojowych, gdzie jakby ją szczęście czekało.

Była tam wtedy do nauki dzieci jakaś pani, już stateczna w latach, i bardzo pobożna, która polubiwszy Magdusię, jak matka, nauczyła ją czytać, pisać i niejednéj rzeczy pożytecznéj, często jéj wróżąc, że ją kiedyś może wielkie spotkać szczęście.

Jakoż się i nie pomyliła: niedługo bowiem pokochał się w niéj, a potem pojął ją za żonę rządca, człowiek młody i bardzo poczciwy, tak od państwa, jak i gromady bardzo lubiony za swą ludzkość i sprawiedliwość.

Żyła długo z nim szczęśliwie poczciwa Magdusia, a choć w cienkie suknie przebrana, jednak nigdy nie zapomniała, że z chłopskiego pochodziła stanu, i szczerze kochała tych, z któremi

niegdyś razem ciężko w polu, lub domu pracowała.

Nieraz człowiekowi polały się łzy z oczu na ten widok, jak poczciwe to kobiecisko, spotkawszy czasem swego starego opiekuna Stanisława, serdecznie całowało jego spracowaną rękę..... A skoro się tylko dowiedziała o jego nieszczęściu, natychmiast wzięła go do siebie, dogadzała jak ojcu, wyprosiła u dziedzica, że mu wystawiono wkrótce chatę i wszystkie zabudowania; opatrzyła potem i groszem i chudobą, i tak powoli, powoli Stanisław znowu przyszedł do takiego stanu, w jakim się przed zgorzeniem znajdował, a długo jeszcze żyjąc na ziemi, niejednemu łzy otarł, i podał pomoc w potrzebie.

Z tego, co ci powiedziałem, moje dziecko, przekonaj się jak różnie na téj ziemi to przez bogatych ubogim, to przez ubogich bogatym, Bóg łaskawy pomaga; jak On jest dobrym, że nam daje ubogich, którym dobrze czyniąc, wzmacniamy naszą miłość ku Niemu...

Oh! bo ten tylko prawdziwie najszczerzéj kocha Boga, kto najszczerzéj kocha bliźniego. Kto nie kocha brata, ten jeszcze mniéj Boga: bo jakżeż Go może kochać, jeśli zapomniawszy, że ma Ojcem Stwórcę, jest obojętnym względem Jego dzieci i nie kocha tych, dla których miłości Chrystus życie poświęcał, którym jednego kubka wody podanego w imie Jego, nie zostawi bez nagrody!....

—Ale mój Janie! cóż się stało z Magdaleną, czy żyje jeszcze? zapytałem Kaszubę.

—O, nie! już nie żyje, i oddawna;... lecz poprzedził ją do grobu jéj dobroczyńca Stanisław.

Pamiętam, jako po jego śmierci wszyscy gospodarze, mnóstwo ubogich tak ze wsi, jak i pobliża z płaczem odprowadzili ciało jego do grobu... dobry to znak po czyjéj śmierci łzy wdzięczności płyną... świadczą one o poczciwości zmarłego.

W kilka lat dopiero po nim umarła wychowanka jego Magdalena, również od gromady i państwa żałowana... prawdziwie ona wstępowała w ślady swego dobroczyńcy, a jak umiała mu być wdzięczną, tak też za jego przykładem litowała się nad biednymi.

Łukasz.

Jechał Piotrek na furze, a Bartłomiéj na drugiéj—mijały się fury.

—Ustąp mi z drogi! krzyknął Piotrek.

— Ustąp mi, odpowiedział Bartłomiéj, jam pierwszy niż ty.

—Kto ci to powiedział? ja pierwszy od ciebie, i nie dam sobie zajeżdżać.

—Czy to na tem uczciwość zależy, żeby się pchać przed drugimi i w drogę im wchodzić? wtrącił stary Łukasz, który przechodził tamtędy, i słysząc kłócących się chłopaków, przystanął. Nie ten lepszy, który się zuchwale przy swojem upiera, ale kto drugich wiedzie do dobrego, kto dla zgody i spokoju ustępuje im chętnie.

Piotrek posłyszawszy te słowa, żywo usunął się z drogi, a Bartłomiéj szczerze się zawstydził, że nie piérwéj to zrobił, i Łukasz poszedł sobie daléj.

Słońce zachodziło, chmury gromadziły się na sklepieniu nieba, a doświadczeni gospodarze patrząc w górę, mówili: będzie deszcz.

Mikołaj i Franciszek stali na ścieżce, oddzielającéj dwa pola od siebie, i w te słowa kłótnię wszczęli:

—Musisz mi oddać, Mikołaju, ten kawał gruntu aż do grochu, już dosyć tego! Co rok przy oraniu zajmowaliście pługiem po kawałku ziemi, i ot, uzbierało się dwa łokcie.

—Nie oddam, bo ziemia moja; najstarsi gospodarze poświadczą, że mój dziad i pradziad orał w tem miejscu, a dzika grusza była nam zawsze granicą.

—Chcecie mnie skrzywdzić, ale nic z tego, mam żonę i dzieci, muszę się bronić.

—Broń się jak chcesz, ja ziemi nie oddam.

—To pójdziemy do prawa.

—Pójdźmy.

—Dobrze, jutro zaraz—wykrzyknął zacięcie wieśniak, i już miał się zwracać ku swojéj chacie, gdy spostrzegł starego Łukasza, który idąc na pogrzeb kuma, posłyszał ich rozmowę, wstrząsnął głową i powiedział: Oj, ludzie, ludzie!

—Łukaszu! zawołali obadwa gospodarze, powiedz, kto z nas ma prawdę?

Starzec zatrzymał się, wieśniacy zaczęli rozpowiadać swoje spory, gdy wtem niebo posmutniało jeszcze bardziéj chmurami, kilka gęstych kropel spadło na ziemię, żałobny śpiew księdza i kościelnego dziada zadźwięczał we wsi, a przez zielone pole zbliżył się skromny orszak pogrzebowy.

Sosnową trumnę przybierał wieniec kłosów i dębiny, jako godła pracowitego kmiecia; garst-

ka ludzi szła za wozem, płacząc zcicha. Franciszek i Mikołaj spuścili głowy, Łukasz spojrzał na nich wymownie.

—Widzicie—oto wszystko, co człowiek zabiera z sobą z téj ziemi do grobu; cztery deski i sumienie. A wy wydzieracie sobie kawał ziemi, który przy śmierci na nic wam się nie przyda, z którym się w końcu musicie rozłączyć, i tylko pamięć krzywdy, z jaką go się nabyło, przyczepi się do duszy, i przed Bogiem z nią stanie, wołając sądu.

Mikołaj i Franciszek nie śmieli nic odpowiedzieć. Pogrzeb oddalał się i niknął powoli za krzakami leszczyny, rosnącéj przy drodze; śpiew żałobny i płacz drużyny coraz ciszéj brzmiał w oddaleniu, wreszcie słaby, stłumiony odzywał się jak echo płaczliwe, odpowiadające zza mogiły.

Łukasz mówił daléj:

Chcąc rzetelnie zważyć wszystkie nasze sprawy, trzeba je zawsze stawiać wobec śmierci; ona najlepiéj nam powie, co warte owe zabiegi, spory i niesnaski, które w proch się przy grobie rozsypią, i tylko obarczą sumienie nasze.

Umarł Roch! Szczęśliwy jednak, bo nie skrzywdził nikogo.—Za jego trumną idzie garstka pomnych na jego cnoty sąsiadów, a poszanowanie wszystkich otoczy grób jego, i jakoby na straży tam stanie. Nieszczęśliwy, kto przy śmierci rozstając się z dobytkiem jaki nagromadził, krzywdę tylko drugich zabiera z sobą; miłosierdzie ludzkie winno mu przebaczyć, bo tak Bóg przykazał, ale poszanowanie ludzkie nie pójdzie za nim do grobu.

—Franciszku! weźcie waszą ziemię—szepnął Mikołaj, ale tylko półtora łokcia wam się należy.

—Wasza prawda, ja chciałem weprzeć te pół łokcia koło grochu.

—Przebaczmy sobie!

—Przebaczmy.

I dwaj sąsiedzi podali sobie ręce; Łukasz wzruszon otarł łzę w milczeniu i poszedł za trumną Rocha.

Niebo zdobiło się słońcem, ziemia dojrzałem żytem. Na końcu wsi z jednéj strony drogi, pośród przepalonéj od gorąca trawy, stała kuźnia, po drugiéj zaś stronie bieliła się stara chata.

Z kuźni wybiegł chłopiec młody, krzepki, rosły, ale w oczach jakiś zaspany i niewesoły, wietka sukmana okrywała go całego, tylko nogi miał bose, a włosy lniane, nieuczesane spadały mu na czoło.

—Co tu robić! powiedział chłopiec do siebie, spuściwszy głowę, i idąc wpoprzek ku staréj chacie, biegałem dzisiaj i po lesie i po polu, najadłem się do syta, robiłem co chciałem, nawet gniazdo makolągwy wybraliśmy z Antkiem, a jednak mi nie wesoło, i jakoś mi smutno.

Kończąc te słowa, doszedł Kostuś drugiéj strony traktu; w chacie okno było otwarte, spojrzał w nie; wprost okna stał warsztat szewcki, szewc zasmolony krajał skórę na buty, a młode chłopaki zszywali, co majster wykroił.

Kostuś przypatrywał się ich pracy; wreszcie słońce zaszło, robota przy warsztacie się skończyła, a z chaty wybiegł drugi chłopiec Oleś.

Twarz i ręce miał zasmolone, jak to bywa przy warsztacie, w ręku trzymał zgrabne trzewiki zrobione dla panienki we dworze, i biegł z niemi żywo, śpiewając wesoło.

Niewinna radość i swoboda malowały się w jego oczach, aż mu smutny Kostuś pozazdrościł.

—Dlaczego Olek taki wesoły? spytał Łukasza, wracającego właśnie z pogrzebu.

—Bo pracował, odrzekł krótko starzec.

—A czemu mnie smutno?

—Bo cały dzień próżnujesz.

Kostuś w zamyśleniu wrócił do kuźni, Łukasz zaś poszedł odwiedzić szewca.

Nazajutrz Kostuś od rana zaraz zaczął ojcu w pracy pomagać, zszedł mu więc dzień cały pożytecznie, a gdy nad wieczorem, bawiąc się w polu, spostrzegł znów Łukasza, powiedział mu:

—Łukaszu! jakiś ty mądry, komu poradzisz a posłucha cię, to i dobrze wyjdzie. Pogodziłeś Piotrka z Bartłomiejem, Franciszka z Mikołajem, i mnie zachęciłeś do pracy; jaka to szkoda, że człowiek całe życie nie może miéć przy sobie takiego mądrego Łukasza! Starzec uśmiechnął się, i odrzekł:

—I ty, i każdy może miéć takiego, jak nazywasz, mądrego Łukasza przy sobie.

—Jakto! Powiedzcie, proszę?

—Poznaj pilnie Boże przykazania, bądź posłuszny rodzicom i starszym, bierz zawsze z nich przykład, a to wszystko stanie ci późniéj za doświadczonego i mądrego, jak mówisz, Łukasza, bo w każdéj życia chwili znajdziesz zadowolenie i będziesz szczęśliwym.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 12 (24) Września 1856 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*